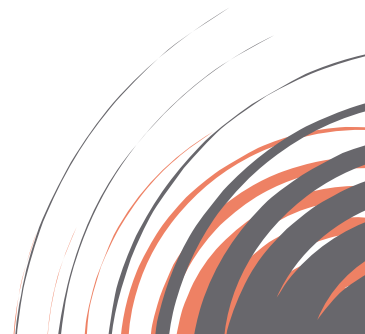




■ ona, on i światło(cień)

■ muzeum w sosnowcu

■ barbara baltis - proza

■ karolina szota - wiersze

wywiad z Wacławem Wantuchem

SOSNart: Z wykształcenia jest Pan artystą plastykiem, co spowodowało że zajął się Pan fotografią a nie, na przykład rzeźbą?

Hmm, może dlatego, że kiedyś stałem się właścicielem komputera. Internet stał się dla mnie dostępny i zacząłem, jak każdy facet chodzić po stronach, po których chodzą faceci (śmiech). Zaczęło mnie to brzydzić, bo ciekawość można szybko zaspokoić na takich stronach. Szukałem zdjęć czarno-białych. Postanowiłem, że skoro ich nie ma to zacznę sam takie robić.

SOSNart: A który to był rok?

To było jakieś dwa lata przed pierwszym albumem czyli w okolicach 2000 roku.

SOSNart: Czy mógłby Pan wymienić kilku artystów (nie tylko fotografików), których twórczość ceni Pan najbardziej?

Numerem jeden będzie tutaj Beksiński, bo był to najlepszy oszust perspektywy powietrznej. Plastycy to są takie „zwierzątka”, które zajmują się oszukiwaniem oczu, a on robił to w sposób doskonały. Gdy jest się przy oryginałach to człowiek widzi jaką potęgą jest jego talent, jego umiejętności. Beksiński zawsze dla mnie był, jest i będzie największym guru.

SOSNart: A z dziedziny rzeźby?

Myślę że tu jestem przedstawicielem konserwatywnego poglądu na rzeźbę, mianowicie Rodin, z polskich - Abakanowicz.

SOSNart: Liczy się Jakość, nie Ilość! Jak osiąga Pan tak zachwycające efekty pracy przy użyciu minimum środków? Mam tu na myśli fakt, że pracuje Pan tylko ze światłem, modelką i swoją wyobraźnią oczywiście.

Żeby osiągnąć „jakość” potrzebna jest „ilość”. Ja tak pracuję, robię bardzo dużo zdjęć po to żeby mieć duży wybór. Dla mnie jest to lepsze niż przez pół dnia ustalanie jakiejś pozy,

Wacław Wantuch

urodził się w 1965 w Tuchowie. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zajmuje się fotografią artystyczną. Mieszka i pracuje w Krakowie. Jest autorem i ilustratorem książki Kamień Wawelski (wyd. Castor, Kraków 1992). Poza fotografią zajmuje się również reżyserią spektakli teatralnych „Kamień, światło, dźwięk” (Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, 1992). Opublikował następujące albumy fotograficzne:

Kraków (wyd. Sepia Collection, Kraków, 2001), Akt (wyd. Bosz, Olszanica, 2003), Kraków (wyd. Art Partner, Kraków, 2003), Akt 2 (wyd. Bosz, Olszanica, 2003). Brał udział w wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą.

Galeria **EXTRAVAGANCE**



korygowanie ustawienia po to żeby po kilku godzinach zrobić jedno zdjęcie.

SOSNart: Rozumiem, ale miałam również na myśli brak draperii i rekwizytów w kompozycji...

Draperia, rekwizyty, przyroda czy cokolwiek innego dla mnie jest takim rodzajem „przeszkadzacza” na sesji, bo jeżeli chcę z ciała kobiety zrobić bohatera zdjęć, to rekwizyty mi przeszkadzają.

SOSNart: Pańska fotografia to fotografia studyjna. Ile czasu spędza Pan w studio, ile trwa sesja z modelką?

W przedziale od pięciu do dwunastu godzin. Wszystko zależy od wytrzymałości modelki.

SOSNart: Jak wygląda przygotowanie skóry modelki przed sesją? Na niektórych zdjęciach widoczna jest woda...

Woda pojawia się w pracowni w Nowej Hucie, było tam gorąco, więc musiałem studzić modelki wodą. Zauważyłem, że to fajnie wygląda, natomiast kiedy stała się już manierą, przestałem stosować. W drugim albumie na kilku zdjęciach pojawia się jeszcze tafla wody, ale krople na ciele to autentyczny pot.

SOSNart: Fotografuje Pan aparatem cyfrowym, dlaczego?

Zaczynałem sprzętem analogowym. Proszę sobie wyobrazić, że Pani jest modelką na sesji i robimy ujęcia, które dla Pani mogą się wydawać krępujące, bo nie widzi Pani rezultatów. Pomyślałem, że albo przymierzę się do sprzętu cyfrowego albo do Polaroida, bałem się jednak, że Polaroid już niedługo może nie być dostępny. Kupiłem tak zwanego „głupiego Jasia” i pierwszy album właściwie w całości powstał na „głupim Jasiu”. Diametralnie zmieniła się praca w trakcie sesji. Czasem były pozy, które trudno byłoby opowiedzieć. Proszę sobie wyobrazić, że proponuję modelce zrobienie takiej pozy dysponując jedynie sprzętem analogowy. A w momencie kiedy biorę sprzęt cyfrowy i na monitoru pokazuję wysoki kontrast, wtedy ta współpraca nabiera innego wymiaru, a ja zyskuję zaufanie.



SOSNart

Bezpłatny dodatek do Kuriera Miejskiego
Czasopisma Samorządowego Sosnowca
Wydawca: SCW Sosnowiecka Korporacja Wydawnicza Sp. z o.o.
ul. 3 Maja 22, 41-200 Sosnowiec
tel. (032) 266 76 26 Fax (032) 266 42 59

redaktor prowadzący: Tomasz Kostro
projekt graficzny i skład : Ryszard Gęsikowski

Adres korespondencyjny:
ul. Małachowskiego 3 41-200 Sosnowiec
Wydział Kultury i Sztuki UM. tel.: (032) 296 06 47
email. sosnart@um.sosnowiec.pl

SOSNart: Rozumiem. A jak wygląda selekcja prac, czy dużo Pan odrzuca?

Tak. W Liceum Plastycznym mieliśmy nauczyciela, który mawiał, że akt to najtrudniejsza z wszystkich dziedzin fotografii i trzeba przyjąć, że na sto prac dziewięćdziesiąt dziewięć idzie do kosza. Staram się robić mniej więcej w podobnych proporcjach.

SOSNart: Pańska fotografia to niekomercyjne podejście do tematu kobiecego ciała, to wspinała kreacja artystyczna bez odzierania z kobiecości. Czy mógłby Pan podać kilka wskazówek dla początkujących, jak osiągnąć esencję estetyki?

Od początku do aktu podchodzę bez myślenia komercyjnego. W przypadku pierwszego albumu popadłem nawet w spore tarapaty finansowe z tego powodu, ale dzięki temu, że nie myślę o komercji mogę robić to co lubię i co chcę.

SOSNart: Pańską domeną jest fotografia czarno-biała, co sprawiło że pokusił się Pan również o zdjęcia kolorowe i współpracę z Zespołem Tańca Współczesnego „Art Color Ballet”?

To było nic innego, jak zwykła chęć „przekupywania” tancerek do wspólnej pracy. W „Art Color Ballet” pozyskiwałem też modelki do zdjęć aktu w mojej pracowni. A bierze się to z prostego powodu - tancerka jest dla mnie najlepszym materiałem do fotografii.

SOSNart: W Pana twórczości często pojawiają się kobiece ciała z tatuażem, dlaczego pokazuje go Pan na zdjęciach?

Może zgodnie z zasadą, że jeżeli czegoś nie można zasłonić to trzeba to pokochać. Na samym początku, gdy umawiałem się z modelką i dowiadywałem się że ma tatuaż, rezygnowałem z sesji. Później okazało się, że jest to na tyle popularne, że żal mi było rezygnować i stwierdziłem „a czemu nie”.

SOSNart: Czy uważa Pan, że tatuaż zastępuje na miano sztuki?

Jeżeli osoba która zajmuje się tatuażem nie jest jedynie kopistą jakichś wzorów, ale również kreuje to wtedy..., nie, nie wiem, nie chciałbym wchodzić w tematy na których się nie znam.

SOSNart: W takim razie przejdę do następnego pytania.



Czy sporządza Pan jakieś szkice rysunkowe swoich pomysłów, zanim rozpocznie się praca z modelką i aparatem?

Tak kiedyś robiłem. Później okazało się to niemożliwe, bo jeżeli miałem pomysły, to przy fotografowaniu tancerki one mogły się sprawdzić, ale już nie koniecznie przy fotografowaniu rubensowskiej damy. Znowu, gdy wymyślałem pozy dla puszystej pani to kompletnie nie działały przy jakiejś szczupłej tancerce. Potem nauczyłem się robić sesję na żywo, inaczej nie miało to sensu.

SOSNart: Czy myślał Pan o wydaniu tych szkiców w formie albumu bądź jako dodatku do albumu fotograficznego?

Już ich nie mam. Wyrzuciłem.

SOSNart: Wydał Pan dwa albumy poświęcone gloryfikacji kobiecego ciała („Akt”, „Akt 2”), czy kolejny album również będzie poruszał ten temat?

Tak.

SOSNart: Na zakończenie: jakie są Pana plany?

Wydanie kolejnego albumu. To mniej więcej dwa lata pracy w studio.

SOSNart: Zatem życzę jak najlepszych zdjęć i bardzo dziękuję za rozmowę.

rozmawiała Małgorzata Stępień

ZAMIAST WSTĘPNIKA

PO PIERWSZYM ROKU
SOSNARTU REDAKTOR
PROWADZĄCY ROZMAWIA SAM
ZE SOBĄ

SOSNart w styczniu ukazał się po raz dwunasty. Trudno było?

Zależy jak na to popatrzeć. Z jednej strony to przyjemność, z drugiej, bywają momenty bardzo trudne. Najgorzej zawsze na początku. Nie zapomnę pierwszego numeru. W ostatniej chwili, niemal na dwie doby przed terminem wyznaczonym przez drukarnię wylądowałem w łóżku z ciężkąrypą. Ryszard Gęsikowski - nasz wspinały grafik - w szpitalu, a o zmianie terminu mowy być nie mogło. Do dziś się rumienię wspominając popełnione wówczas błędy.

Po co powstał SOSNart?

W gronie ludzi decydujących o powstaniu Sosnowieckiego Magazynu Kulturalnego panowała zgodna opinia, to ma być jeden

z ważnych sposobów roztaczenia opiekuńczego mecenatu Samorządu nad twórcami (szczególnie młodymi, a mówiąc to mam na myśli nie tyle metryki, co staż w uprawianiu sztuki). Od początku nie zakładaliśmy charakteru sprawozdawczego – kronikarskiego dla tego pisma, raczej widzieliśmy je jako forum prezentacji dorobku poszczególnych autorów i instytucji kultury. To w zasadzie się udaje. Miałem w tym względzie pewne doświadczenia, starsi czytelnicy pamiętają zapewne niegdysiejszy *Kurier Literacki*, przeto i moja skromna osoba znalazła się w zespole. Świadomie mówię o zespole, choć tzw. stopka redakcyjna tego nie ujawnia, ale już po drugim, trzecim numerze powstał dość zgrany, choć zupełnie nieformalny zespół ludzi mających znaczny wpływ na kształt i charakter pisma. Jestem zadowolony.

A z czego bywam niezadowolony?

Z bardzo skromnych środków materialnych. Jak dotąd nie możemy sobie pozwolić na zamówienie materiału. Na to nie mamy środków. Cokolwiek się dotąd ukazało to tylko wynik dobrej woli autorów, czasami efekt siły perswazji, że jednak warto.

Dlaczego warto?

Choćby dlatego, że mamy wreszcie szansę poznać się wzajemnie, czasem dowiedzieć się o swoim istnieniu. W jednym z felietonów ujawniłem, jak wielką frajdę sprawił mi artysta malarz (Marek Grabowski), który po przeczytaniu opowiadań Karoliny Szoty (debiut) wpadł dosłownie w zachwyt. Z drugiej strony, jeśli do dziś pamiętnik Maryli Landau wzbudza zainteresowanie (wciąż są prośby o przysłanie odpowiednich numerów, których już nie ma, pozostaje Internet) to też sprawia satysfakcję. Wiem, że poszczególne egzemplarze trafiły do Izraela, Stanów, do Francji i Wielkiej Brytanii.

Są głosy krytyczne?

Owszem, jak najbardziej. Szczególnie we własnym gronie nie szczędzimy sobie czasem nader gwałtownego wytykania błędów, niezręczności, nieuwagi. Na szczęście to twórcze kłótnie. Niech trwają.

Czego życzyć?

Na pewno zmniejszenia stopnia niezadowolenia, czyli poprawy bazy materialnej, poza tym większego zaufania ze strony mecenasa i oczywiście wielu wspinałych autorów - artystów różnych dziedzin i dobrych piór dziennikarskich.

Amen.



PRZYJDŹCIE DO MUZEUM I ZOBACZCIE SAMI



W dzielnicy zwanej Środulką, w niezbyt rozległym, ale uroczym parku, obfitującym w dostojne wiekiem i wyglądem drzewa, w otoczeniu poprzemysłowych zabudowań - za torami kolejowymi, w pozostałości niegdysiejszych slumsów - wzniesiony został fabrykancki pałac. Była to okazała rezydencja rodziny Schöńów, jednego z czołowych klanów rodzinnych w gronie przemysłowców Sosnowca. W owym dostojnym gmachu znalazło swą siedzibę Muzeum, dziś miejskie, przed laty Oddział Muzeum Górnośląskiego. Zapraszamy do odwiedzenia Muzeum, któremu od lat udanie dyrekturuje Zbigniew Studencki.

Muzeum w Sosnowcu pełni funkcję szafarza - bo zbiera i przechowuje pamiątki przeszłości i dnia dzisiejszego; propagatora - bo eksponuje to, co najcenniejsze i najbardziej godne pokazania; popularyzatora - bo poprzez działalność wydawniczą i dydaktyczną popularyzuje to, co godne popularyzacji i inspirowanie do indywidualnych poszukiwań, wreszcie animatora - bo przez eksponowanie własnych zasobów i sprowadzanych z zewnątrz pokazuje to, co warte pokazania krajowi i Europie i to, co pochodzi spoza Sosnowca, warte jest pokazania nam. Przechowuje i eksponuje (także zbiera) doku-





Sale wystawowe



Muzeum w zimowej szacie

menty, fotografie, pamiątki i dokonania artystów, inspirowane i własnym sumptem prowadzi działalność wydawniczą. Muzeum w Sosnowcu jest wreszcie instytucją szeroko pojętej kultury, wartą częstych odwiedzin i wnikliwego penetrowania raz po raz organizowanych ekspozycji.

W zasobach Muzeum możemy znaleźć wiele, unikalnych świadectw naszej przeszłości, historii rodzenia się miasta przemysłowego i dziejów miejscowości dziś stanowiących jego dzielnice. Najlepszym tego przykładem jest podjęta przed kilku laty inicjatywa organizowania cyklicznych wystaw poświęconych poszczególnym dzielnicom miasta. Oglądaliśmy już dokumenty i pamiątki dotyczące Klimontowa, Zagórza, Milowic i Pogoni, ale wciąż wiele przed nami. Niezapomnianym przeżyciem było oglądanie ekspozycji i uczestniczenie w konferencji poświęconej pamiętnikom Fanny Lamprecht członkini klanu Schönów, świadkowi epoki i wnikliwej obserwatorce (także poniekąd twórczyni) rodzenia się przemysłowego miasta w obcym dla niej - było nie było - oto-

czeniu. Niżej podpisany doświadczył wielu podobnych przeżyć.

Zapewne jednym z nich, i to tych donioślejszych, było oglądanie eksponatów i uczestniczenie w spotkaniach służących uświadomieniu nam współczesnym, że Sosnowiec do ponurych lat okupacji niemieckiej był miastem wielokulturowym, a znaczący udział w owej wielokulturowości mieli licznie zamieszkujący miasto Żydzi, dający mu trudny do przecenienia wkład w rozwój gospodarczy i kulturalny. Muzeum w Sosnowcu posiada w swych zbiorach cenne judaika, utrzymuje żywy kontakt z potomkami byłych mieszkańców, wśród których nie ma grupę stanowią wybitni artyści i uczeni.

Poza działem historii poczesne miejsce zajmuje sztuka. Z jednej strony to rzemiosło artystyczne w postaci unikalnej w skali kraju kolekcji szkła artystycznego i historycznego, na przykład dzieł Henryka A. Tomaszewskiego. Trwa stała ekspozycja części kolekcji szkła, co pewien czas zmieniana i uzupełniana. Z drugiej strony to zbiory dzieł sztuki, przede wszystkim malarstwa i grafiki. Tu na szczególną uwagę zasługuje kolekcja grafik Mariana Maliny z oczywistych przyczyn najbogatsza w kraju. Niestety, nie często możemy owe dzieła oglądać. Wedle dawno już przyjętych norm dzieła tego typu mogą być ekspozycyjne jedynie przez trzy mie-

c.d. na stronie 13



EUROPEJSKIE SZCZYTOWANIE NA SCENIE, czyli o "Stosunkach na szczycie"

Edwarda Taylora w Teatrze Zagłębia

S tatystyczny widz telewizyjny przyzwyczajony jest do oglądania scen erotycznych na szklanym ekranie. Chyba żaden film - by podnieść oglądalność - nie może się bez nich obyć. Seks jest obecny w programach rozrywkowych w mniej lub bardziej dosłownej formie.

Co będzie jeśli widz telewizyjny uda się do teatru, by obcować z wyższą nieco kulturą, z poziomem „na poziomie”? A spotka się tam z tymi samymi niemalże scenami rodem z seriali komediowych? Jaka będzie jego reakcja? Jak się zachowa? Czy odwróci wzrok? Uda święte oburzenie? A może skorzysta z intymności zaciemnionej widowni i napawać się będzie erotycznymi scenami granymi tu przecież na żywo, tuż przed jego oczami? Bez powtórek, cięć, odjazdów kamery w kierunku płonącego kominka.

Akcja „Stosunków na szczycie”, sztuki Edwarda Taylora w reżyserii Pawła Pitery dzieje się w luksusowym paryskim apartamencie, gdzie na spotkanie umówieni byli członkowie komisji europejskiej*. Tymczasem wynajęte okazjnie mieszkanie okazuje się nie do końca wynajęte, bo niespodziewanie wraca właścicielka. Pojawia się także kochanka kandydata na stanowiska europejskiego komisarza oraz jego żona. Sprawę znacznie komplikują znikające męskie części garderoby. I tak, ustępującego dygnitarza, który ma poprzeć kandydaturę nowego, trzeba przyjąć w teatralnym

kostiumie strażnika Tower of London. Na szczęście dla wszystkich szybko okazuje się, że nikt nie jest zupełnie czysty, każdy ma coś na sumieniu, w tym przypadku – romanse i ... dziwaczne przebranie. Mamy tu zatem obraz tak zwanej wielkiej europejskiej polityki pokazany od strony... garderoby.

Miło było patrzeć na Sir Clive'a Partridge'a (Zbigniew Leraczyk) kandydata na komisarza komisji europejskiej, na jego żonę - Lady Gillian Partridge (Ryszarda Celińska), która lubi przeglądać zawartość barku, pisząc przy tym wydumane wiersze bez rymu, na kompletnie oszołomionego pracownika brytyjskiej dyplomacji Simona Prouta (Artur Hauke), który za to świetnie wygląda w obcisłych czerwonych getrach, na Ernesta Kibble'a (Przemysław Kania), pracownika ambasady chorobliwie bojącego się o swoje zdrowie, a wreszcie na z lekka szaloną kochankę Partridge'a Astryd (Agnieszka Bieńkowska). Miło także było oglądać podtatusiałego dyplomatę Jasquesa Berri (Wojciech Leśniak) w nieprawdopodobnie wręcz idiotycznym kostiumie, czy na słodką blondyneczkę Louise Muller (Ewa Kopczyńska), na którą z przyjemnością gapią się z pewnością męska część widowni, gdyż aktorka niewiele miała na sobie przez cały niemalże spektakl.



A wszystko przyprawione tryskającym humorem, dowcipnymi dialogami i nieprawdopodobnymi zwrotami akcji. Bo jak tu uwierzyć, że przebywający w jednym mieszkaniu ludzie nie wiedzą nawzajem o swoim istnieniu, mylą się co do swojej tożsamości, przebierają w głupawe stroje i nie potrafią sobie poradzić z najprostszymi sprawami. A jednak jest w tym pewna beztroska, swoboda dobrej zabawy. Nie trzeba się silić na analizy, interpretacje, szukanie drugiego dna. Czysta przyjemność płynie ze swobodnego obcowania z farsą, bez ukrytych sensów i podtekstów.

A wiadomo, że sztuka lekka, przyjemna w odbiorze z pewnością jest sposobem na zapełnienie widowni, szczególnie, że jest dobrze zrobiona. Może i to jest właśnie droga, którą powinna pójść teraz ekipa Teatru Zagłębia zwłaszcza po ostatnich niezbyt udanych premierach sztuk poważnych, jakoby ważniejszych, ale snadź zbyt ciężkich? Teatr Zagłębia rozpoczął karnawał efektownie, niech tak trzyma.

Katarzyna Krzan

*Edward Taylor, Stosunki na szczycie.

Reżyseria: Paweł Pitery.

Scenografia: Andrzej Rafał Waltenberger.

Kostiumy: Maria Duffek.

Obsada: Agnieszka Bieńkowska, Ryszarda Celińska, Ewa Kopczyńska, Artur Hauke, Przemysław Kania, Zbigniew Leraczyk, Wojciech Leśniak.

Przedstawienie można oglądać od 3 stycznia 2009 w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu.





SKANKAN

...Legenda Sosnowca wciąż żywa

Kilkanaście lat temu, na terenach naszego miasta zrodził się pomysł, który nie pozostał bez echa, a jego realizacja trwa do dzisiaj. Propagowanie radosnej, pełnej ciepłych, karaibskich rytmów muzyki, za cel obrał sobie zespół Skankan, którego powstanie uznano za jeden z najważniejszych

momentów w historii polskiej muzyki ska. Niezwykle żywiołowy i energetyzujący „big band”, uznawany w kręgach „znawców tematu” za legendę.

Legenda niebawem przypomni, że wciąż jest żywa.

Skankan w swej bogatej historii może pochwalić się niezliczoną ilością koncertów zagranych nie tylko w kraju (odwiedzili największe kluby muzyczne w Polsce: Riviera Remont, Pod Jaszczurami, Proxima, Palladium, Mega Club oraz m.in. festiwale: Przystanek Woodstock, Africa Need Your Help, Reggae nad Wartą, Winter Reggae) ale z powodzeniem dzielili się także swą

energiją sceniczną za granicą: w Pradze (Ska&Reggae Festival), Ostrawie, Berlinie, Frankfurt, Bad Muskau, Cottbus. Gościli również w wielu programach telewizyjnych (finał WOŚP - TVP2, Rower Błażeja - TVP1, Lansator - TVP3 Kraków). W 2000 roku TVP3 Katowice zarejestrowała reportaż poświęcony działalności zespołu. Członkowie grupy uczestniczą również w rozmaitych projektach muzycznych czego efektem są nagrania z zespołami: Frontside, Püdel, Pidżama Porno oraz muzyka do filmu „Randka w ciemno” w reż. Mieczysława Herby. Utwory zespołu ukazały się na rynku kilkakrotnie w wydawnictwach: Live '95 (MC/QPAT Records), Skankan ożywia trupy (MC/QPAT Records), Wakacyjne zagranie (XL), Polska Norma (R'n'Roller Records), Ska trax the next generation II (Heatwave Records), Przystanek Woodstock (Polskie Nagrania), Skankan ożywia trupy (CD reedycja/QPAT Records), United Colors of Ska IV (Pork Pie Germany). Jak się wkrótce okaże, zespół Skankan wytrwale i z ogromną pasją zapisuje kolejne karty swojej historii - wiosną nowy album i nowa dawka energii - zapowiada się więc niezwykle obiecująco.

■ „Makaron po Śląsku”

Właśnie trzymam w rękach debiutanci ki krążek grupy bluesowej „Marek Makaron Trio” zatytułowany „Makaron po Śląsku”. Zapowiada się ciekawie: niebanalna okładka, tajemniczy tytuł... To nie koniec niespodzianek jakie przygotował dla nas zespół.

Na płycie znalazło się 12 śląskich pieśni ludowych w połączeniu z dźwiękami tradycyjnego korzennego bluesa rodem z delty Missisipi m.in. pochodząca z XV wieku katowicka pieśń żałobna „Skarga Umierającego”. Krążek zawiera również autorskie kompozycje Marka Motyki. Ja osobiście polecam utwór „Za moim łoknem”, który wokalista napisał kilkanaście lat temu.

Piosenki są rytmiczne i melodyjne, dobrze zaaranżowane. Nic dziwnego, w składzie zespołu są muzycy z pewnym doświadcze-

niem: Marek „Makaron” Motyka, bluesman z Bytomia, który gitarowe rzemiosło szkolił grając na ulicach i w klubach we Włoszech i Francji, Patryk Filipowicz, gitarzysta z Sosnowca, który organizował i współprowadził tu cykliczne bluesowe jam sessions oraz harmonijkarz Adam Jawień. Obecnie do zespołu doszedł Dawid Wydra, laureat konkursu Harmonica Bridge 2007, który zastąpił Adama Jawienia.

Patronat medialny nad krążkiem objęły: TVP 3 Katowice, Telewizja Silesia TVS, Akademickie Inkubatory Przedsiębiorczości oraz internetowy serwis „gramnagitarze.pl”.

Zespół nagrał płytę bez oglądania się na panujące mody. Nagrał płytę, której sukcesu nie będzie trzeba podpieierać akcjami promocyjnymi czy wywoływaniem ekscesów.

Krążek zawiera to „coś”, co wykracza poza ścisłe kategorie muzyczne. Posłuchajcie, a nie zawiedziecie się!

Ewa Kościńska



TANECZNYM
KROKIEM

Barbara Baltis

Jestem tu obcy. Zważywszy na mą posturę czułbym się pewnie obcy w każdym innym miejscu na Ziemi. Jednak w moim kraju, chociażby ze względu na gorszą lub lepszą znajomość ojczystego języka, potrafiłem z miejsca odpowiedzieć na kąśliwe uwagi. Sto siedemdziesiąt trzy kilogramy tłuszczu z jaką codziennie muszą się zmagać moje nadwątłone kości jest niewątpliwym balastem, utrudniającym nawiązywanie bliższych kontaktów z tubylcami. I chociaż kolorowe bilbordy zdają się prześcigać w wymyślaniu coraz to skuteczniejszych produktów w walce z obmierzłą wagą, od patrzenia na nie jeszcze bardziej robię się głodny, myśląc iż całe to przechodzenie na dietę wymyślił ktoś pragnący pozbawić innych największej przyjemności życia, jaką jest smak różnorodnych potraw.

Śmiało mogę stwierdzić, iż mniej lub bardziej nauczyłem się nie zmagać ze sobą, i obecny stan rzeczy uznałbym za coś całkowicie naturalnego, gdyby nie pewien fakt. Od wielu tygodni mam głowę zaprząta bowiem jedna myśl, której nijak nie potrafię się pozbyć. Z uporem maniaka obserwuję swe stopy, niosące mnie w przedziwne zakątki miasta, o godzinie w której wszyscy tzw. prawi obywatela dawno powinni spać. Z każdym moim krokiem wytyczam mapę potknięć, upadków, miarowego tępa codziennej egzystencji oraz gonitwy myśli.

W ciągu dnia jestem tylko częścią powszedniego zgiełku ulic, bezpiecznych i odgadnionych w skwarze południa, natomiast tajemniczych i wrogich w natręctwie nocy. Gdy zapada zmrok, pewna idea tak uparcie wdzierająca się w najciaśniejsze zakamarki mojego mózgu, wydaje się przybierać na sile. Do tego stopnia iż muszę wyjść.

Moje nogi uparcie niosą mnie na St-Michel, gdzie niewłaściwość mego pojawienia się zostaje zauważona niemal natychmiast. Barman porozumiewawczo puszcza oko do długonogiej kobiety sączącej kolorowego drinka z parasolką, a ona odpowiada mu wibrującym w mych uszach śmiechem. Postanawiam nie zwracać na nich uwagi. Przeciskam się przez zatłoczoną salę taneczną, co wcale nie okazuje się wielkim wyczynem, gdyż ludzie na mój widok schodzą z drogi. Zmęczony, z pierwszymi kroplami potu na czole opadam na pobliską kanapę. Gruchająca w jej kątach parka, postanawia szybko opuścić to miejsce, ru-

cając mi na odchodnym wymowne spojrzenie. Nic jednak sobie z tego nie robię, gdyż właśnie dociera do mnie, iż oto powziąłem decyzję. Podnoszę rękę w znaczącym geście i przyzywam kelnera. Łamaną francuszczyzną zamawiam cztery setki i wypijam jedna po drugiej. Między czasie muzyka się zmienia. Lokal wypełniają teraz rytmy kubańskie. Wstaję...

Moje pojawienie się budzi wśród tańczących par popłoch. Knapa jest dosyć mała, tak iż moje ciało wypełnia niemal cały parkiet. Tancerze szybko kryją się po kątach i nieoczekiwanie zostają sam. Tylko chwilowo powoduje to mój niepokój. Nareszcie dysponuję bowiem odpowiednią przestrzenią. Muzyka zdaje się narastać a rytm bębnow i grzechotek, wybijających rytm zdaje się hipnotyzować moje kończyny. Perpetum mobile ruszyło. Choćbym chciał, nie potrafię się zatrzymać. Skrywane przez lata emocje odnalazły wreszcie swe ujście i płyną jak wodospad. Idzie mi chyba całkiem nieźle, albo też ludzie zgromadzeni w klubie pojęli nagle istotę tego niepojętego dla mnie czynu. Gromadzą się bowiem dookoła sali, wyklaskując rytm i śmiejąc się. Lecz nie jest to śmiech szyderczy. Barman porozumiewawczo puszcza do mnie oko, a długonoga kobieta wznosi w mój kierunku toast kolejnym drinkiem. Nawet zakochana para, w przerwach między pocałunkami podnosi do góry kciuki. Czuję wszechogarniającą falę gorąca, pot leje się ze mnie strumieniami. Zupełnie jakbym wyszedł z rzeki, obmywszy się uprzednio ze wszystkich swoich grzechów. To już rodzaj zbiorowej euforii. W mych oczach pojawiają się łzy. Płaczę i tańczę, a napływający tłum bije brawo...

Nagle ktoś szarpie mnie za ramię. Z początku lekko, tak że myślę, iż to w wyniku nieuwagi. Jednak po chwili sytuacja się powtarza. A ja z oddali słyszę głos:

- Proszę pana...proszę pana...proszę się obudzić... zamykamy...

Otwieram oczy, pod których powiekami skryły się jeszcze ostatnie łzy i...wychodzę, by w chłodzie poranka śnić dalej swój sen na jawie.

KONKURS



PAŃSTWOWY INSTYTUT GEOLOGICZNY ODDZIAŁ GÓRNOŚLĄSKI

zaprasza uczniów szkół podstawowych z obszaru województwa śląskiego i opolskiego (klasy IV, V i VI) do udziału w X jubileuszowej edycji

Ogólnopolskiego Konkursu Geologiczno-Środowiskowego Nasza Ziemia – środowisko przyrodnicze wczoraj, dziś i jutro

odbywającego się w 2009 roku pod hasłem: „ZIEMIA GIGANTÓW”

Konkurs Plastyczny i Konkurs Wiedzy Geologicznej

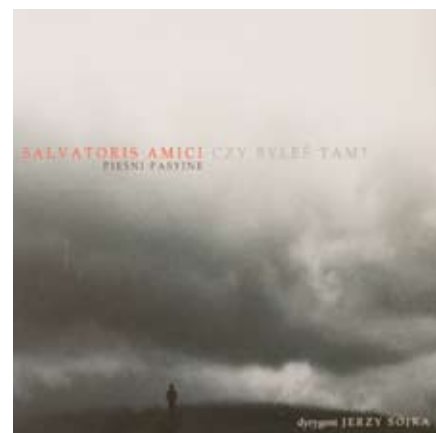
TERMIN NADSYŁANIA PRAC:
8 KWIETNIA 2009 r.

Wszelkich szczegółowych informacji na temat konkursu udziela mgr Paweł Woźniak Państwowy Instytut Geologiczny Oddział Górnośląski, tel.: (032) 266 20 36 w. 151), także www.pigog.com.pl, e-mail: pawel.wozniak@pgi.gov.pl.

Ukazała się płyta w sosnowieckiego chóru "Salvatoris Amici" pod dyrekcją Jerzego Sojki.

P o l e c a m y

Więcej o płycie, chórze i jego dyrektorze w następnym numerze



KAROLINA

SZOTA

-WIERSZE

Karolina Szota rocznik 1985. Sosnowiczanka, studentka Uniwersytetu Śląskiego.

Dość wszechstronna młoda artystka, uprawia malarstwo, grafikę, projektuje druki użytkowe, foldery itp. jednak przede wszystkim pisze.

Na naszych łamach dała się już poznać, jako prozautorka.

Tym razem proponujemy kilka Jej wierszy.

DOTYKANIE K.

od ostatniej rozmowy i krótkiego widzenia
zjadłam wszystkie paznokcie. teraz palce mam bardziej
wrażliwe i przy kolejnych powitaniach musisz
być delikatniejszy. jeśli łączą się nasze

orbity, wpadając na siebie /nieistniejącym/
przypadkiem - nie wolno nam się zderzyć i roztrzaskać.
wszystko wymaga ciszy i skupienia. opuszki
muszą być nienaruszone i ślepe,

jak ledwie narodzone myszy w chropowatym
piwnicy półmroku.

TRYPTYK PODRÓŻNY

- osiemdziesiąt siedem kilometrów -
z wyrazem niesmaku / bo pot się skrapla ponad
górną wargą / patrzymy sobie w obrzydłe twarze -
naprzeciw godzinom chybotliwej drogi. moja
podróż pachnie antyseptykami, nieodmknętym
przedziałem miotają przeciagi. to nic - dopóki
żużel odpryskuje spod kół na każdym wiadukcie.
dopóki się dzieją nienazwane tory. gdzieś przed.
- labirynty dworcowe -
posmak amoniaku napływa do ust razem ze
śliną / jak nadgryzione pędy trakcyjnych drutów
i kabli /. każdy krok prowadzi w jeszcze głębsze
zagęszczenie ciał w ciągłej migracji.
brak w tym wszystkim prostoty i zrozumiałości krętych
korytarzy, wypaczonych poręczy i schodów.
staram się nie spieszyć i unikać myśli, że
każde echo i oddech - w pętli się zasupła
dookoła suchej szyi poczekalni dworcowej.
- poetyka miasta -
telegraficzne krzyże na tle wczesnej nocy, jak
ostatnie bastiony industrialnych modlitw. poprzez
skrzydła przysiadłych ptasich hołot, wlatują między
chmury / rozdrapane szpilami budynków
wbitych w zgęstniałe powietrze /. jest cel - pomiędzy
drogą a bezruchem.

DRZAZGI (dla W., który pisze lepiej niż ja w jego wieku)

przyznaję, że po tych snach bywam zwykle głodna.
po tych, gdzie kołyski męskich imion jeszcze nie
nadanych /w miękkim cieniu/ wbijają mi pod
skórę drzazgi. po tych snach standardowo: samo-

oczyszczenie. mozolne zmywanie z siebie
resztek nocy. jakby cokolwiek mogło zostać
pod złamanym paznokciem lub za uchem lewym.
bo czasem karykaturalnie stajemy się

pojedynczą częścią-nie-składową ciała na
korkbę nakręcanego. w pół śnie - pół jawie.
a potem: papieros. standard. i wyciąganie

drzazg.

ŚNIENIE

podpalony kot wpada mi pod powiekę.

i choćbym nie wiem ile ci dawała kluczy
do moich okien i drzwi - nie wchodzisz we mnie
na krok nawet. wszystkie progi i parapety
jeszcze nie przekroczone. podłogi nie

prздеptane. od środka pokrywa mnie kurz,
w którym bazgram palcem kolejne dotyki.

zwęglona kocia sierść wpada mi do nosa.

i połykam następny kęs powietrza, bo
oddychanie nuży. więc po kolana w
bezdźwięku brodzę. jestem pestką winogrona
rozgryzioną pomiędzy zębami. kiedy

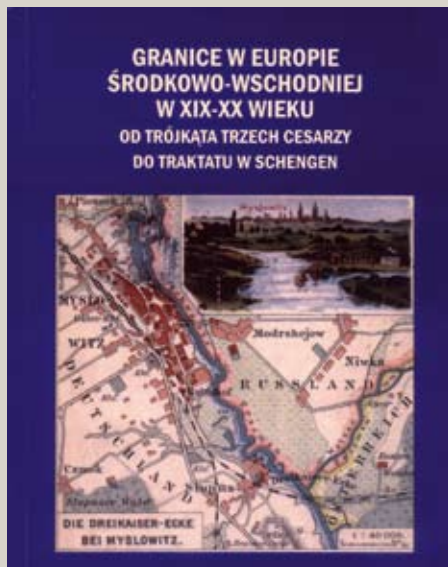
wszystkie koty już dawno spłonęły.

GRANICE W EUROPIE

Książka „Granice w Europie środkowo-wschodniej w XIX i XX wieku. Od Trójkąta Trzech Cesarzy do Traktatu w Schenghen” jest efektem listopadowej Międzynarodowej Konferencji Naukowej zorganizowanej przez Muzeum w Sosnowcu i Instytut Historii Uniwersytetu Śląskiego. Konferencja odbywała się pod patronatem Sekretarza Generalnego Rady Europy, posłów do Parlamentu Europejskiego Genowefy Grabowskiej, Adama Gierka i Jana Olbrychta, Konsula Honorowego Republiki Słowenii oraz Prezydentów miast: Sosnowca, Mysłowic i Jaworzna.*

Poza materiałami ściśle historycznymi dotyczącymi tego miejsca na mapie, gdzie stykały się trzy europejskie mocarstwa, książka zawiera bardzo ciekawy esej Jeana Petaux będący referatem otwierającym konferencję, a dotyczący współczesnych problemów Europy w ujęciu filozoficznym.

Trójkąt Trzech Cesarzy, miejsce u zbiegu rzek Białej i Czarnej Przemszy, gdzie dziś przebiega administracyjna granica trzech wspomnianych wyżej miast, jest ostatnio modny. Dzieje się tak za sprawą kilku osób, które od dawna walczyły o przywrócenie zbiorowej świadomości faktu, że ów punkt na mapie może i powinien mieć walor turystyczny, promocyjny i w ogóle wart jest zabiegów, renowacji i nagłaśniania. Tak się dzieje, choć nie bez kłopotów i zawirowań. Najpierw konferencja, a teraz omawiana książka na pewno celowi temu dobrze służy. Kto zada sobie trud i przeczyta zawarte w niej referaty zapewne



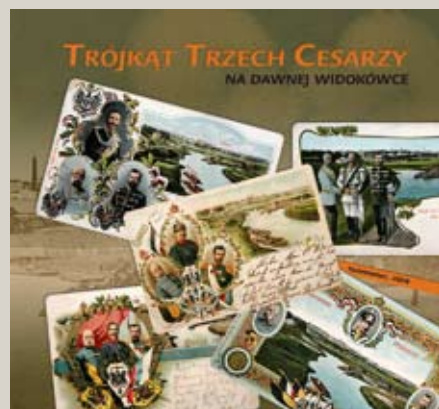
przekona się ostatecznie, że to unikalne miejsce powinno być szczególnie wyeksponowane. Jak niegdyś miało dla nas Polaków wymowę dość ponurą, w końcu graniczyły tu ze sobą mocarstwa zaborcze, tak teraz może mieć i poniekąd już ma walor jednoczący i to nie tylko w odniesieniu do stykających się miast, ale w skali o wiele szerszej. Nie darmo przywołałem na początku otwierający książkę tekst Francuza (Uniwersytet w Bordeaux) o współczesnej Europie. Ponadto książka zawiera referaty: Dana Gawreckiego (Czechy), Ryszarda Kaczmarka (UŚ.), Zbigniewa Studenckiego (Muzeum w Sosnowcu), Joanny Januszewskiej-Jurkiewicz (UŚ), Harro Beberta (Muzeum Granic Eichsfeld w Teistungen. Niemcy), Heleny Witeckiej (Muzeum Miasta Mysłowice),

Marii Leś Rudnickiej (Muzeum Miasta Jaworzna), Piotra Matuszka (Archiwum Państwowe w Katowicach), Michała Węcla (Muzeum w Sosnowcu), Stanisława Czekalskiego (PTTK w Sosnowcu), Dariusza Jurka (Stow. Forum dla Zagłębia), Marii Tkocz (UŚ) i Marii Pukowskiej Mitka (UŚ). Książkę kończą kolorowe reprodukcje dwóch map i pięciu widokówek.

Wszystkich zainteresowanych zachęcam do lektury.

toko

*Granice w Europie środkowo-wschodniej w XIX – XX wieku. Od Trójkąta trzech cesarzy do Traktatu w Schengen. Wyd. Muzeum w Sosnowcu. Sosnowiec 2008.



ARTYSTYCZNE WYDARZENIE

TEGO ROKU !

ZAPRASZAMY DO ZAMKU SIELECKIEGO

13.02. - 15.03. 2009 r.
wernisaż godz. 18.00

wystawa retrospektywna
fragmenty
większej
całości

malarstwo

Jerzego
Tchórzewskiego

Galeria **EXTRAVAGANCE**

aneks

Zygmunt Wagner
Paweł Nowak
Sławomir Ratajski
Stanisław Wiczorek

PRZYJDŹCIE DO MUZEUM I ZOBACZCIE SAMI

siące w roku, pozostały czas muszą spędzać w ciemności i w odpowiednio klimatyzowanym pomieszczeniu.

Podobnie rzecz ma się z malarstwem. W zbiorach Muzeum znajdziemy reprezentację dzieł Janiny Kraupe, Władysława Raszkiewicza, Macieja i Zdzisława Lachurów, Bogny Krasnodębskiej - Gardowskiej, Jacka Rykały i wielu innych artystów nie tylko z Sosnowca. Muzeum współpracuje bardzo efektywnie z wieloma podobnymi sobie placówkami w kraju i w Europie. Szczególnie blisko z muzeami słowackimi, czeskimi i węgierskimi. Trwa wymiana, organizowane są wspólne konferencje i sympozja. Wiele wystaw na przestrzeni ostatnich kilku lat było prawdziwymi wydarzeniami zarówno ze względu na rangę pokazywanych dzieł jak i unikatowość eksponatów.

Pozostającą w ścisłym związku z całością kształtem działalności jest aktywność wydawnicza. Jest Muzeum wydawcą „Rocznika Sosnowieckiego”, katalogów wystaw oraz wielu pozycji w dziedziny historii, w tym także materiałów pokonferencyjnych. Ostatnio ukazały się pozycje związane z „Trójkątem Trzech Cesarzy”: album „Trójkąt

Feliks M. Wygrzewalski "Hiszpanki"

Trzech Cesarzy na dawnej widokówce” oraz tom „Granice w Europie środkowo-wschodniej w XIX-XX wieku. Od Trójkąta Trzech Cesarzy do traktatu w Schengen”. Są to materiały po międzynarodowej konferencji zorganizowanej przez Muzeum.

Tylko w ubiegłym roku ukazało się 16 różnych pozycji, a sprzedaż przekroczyła 4 tysiące egzemplarzy, przynosząc przychód prawie 60 tysięcy złotych. Jak na wydawcę pozycji okazjonalnych i z natury rzeczy nisko nakładowych jest to wynik imponujący.

Nie można też zapominać o dydaktyce. Muzeum prowadzi tzw. lekcje muzealne przy okazji poszczególnych wystaw i współpracuje w tym względzie z większością szkół. Organizowane są także różnego typu konkursy dla dzieci i młodzieży, turnieje wiedzy i tym podobne.

Muzeum jest gospodarzem finału Sosnowieckich Spotkań Artystycznych, czyli plenerów malarskich (ostatnio także fotograficznych) kończonych się wystawą powstałych z tej okazji prac. O ubiegłorocznych Spotkaniach mieliśmy przyjemność pisać na tych łamach.

Wszystkie wernisaże wystaw, także konferencje i innego typu imprezy wzbogacane są mniejszym lub większym koncertem, goście przyjmowani są serdecznie, atmosfera panuje tu miła i ciepła, co jest bez wątpienia zasługą dyrektora i wspaniałego personelu. Słowem, zachęcam wszystkich do jak najczęstszych odwiedzin w pięknym pałacu, zwiedzania wystaw, kupowania wydawnictw. Pracownikom Muzeum natomiast życzę dalszych sukcesów i rosnącego zainteresowania ze strony mieszkańców Sosnowca i przyjezdnych.

Julian Starzycki



Jadwiga Maziarska "Bez tytułu"



Władysław Raszkiewicz "Pejzaż morski"



Janina Kraupe "Motyw zimowy"



Janina Kraupe "Meteority"

TOKOWISKO

Powinienem ciągnąć temat z poprzednich numerów, temat o uśilnych próbach zaklania rzeczywistości przy pomocy ucha i ustaw. Proceder wciąż kwitnie. Ale z drugiej strony... czy jest w tej pisaninie jakiś sens? Gdyby tak wziąć na warsztat teksty co wybitniejszych felietonistów z przeszłości, z wieku XX, zajmujących się obyczajem i kulturą na co dzień, powiedzmy od Prusa zaczynając, przez Boya, Słonimskiego, Nowaczyńskiego, aż po kilku z czasów peerelu, to można by większość z tych felietonów przedrukować niemal bez poprawek. Wcale, albo przynajmniej niewiele, utraciły ze swej aktualności. Smutne to choć prawdziwe. Pisywanie takich felietoników to nic innego jak sztuka dla sztuki. Rzeczywistości nie zmienimy, najwyżej ktoś tam dozna odrobiny satysfakcji, że to co sam myśli może także przeczytać w mniej lub bardziej udolnie wyrażonej formie. Marna to satysfakcja, bo choć ten i ów pokiwa głową ze zrozumieniem i tak potem zrobi swoje, albo raczej nic nie zrobi. Mam gorzką świadomość daremności tego trudu, a że jest znoyny doświadczam co miesiąc.

W ostatnich czasach ludzkość zafundowała sobie kilka utraień - do niedawna nieznanych - tylko z tego powodu, że pozwolono uchwalić, a potem przyjęło życzenie

CZOSNEK NA RECEPTĘ

za rzeczywistość, Pamiętam doskonale czasy, kiedy większość surowo dziś zakazanych ziółek i ich pochodnych dostępna była niemal wszędzie, tanio i bez ryzyka... a prawie nikt po nie nie sięgał. I komu to przeszkadzało? Ano chyba producentom, bo zarabiali na tym mało, właściwie wcale, przydał im się zakaz, oj przydał! Mają się teraz dobrze, coraz lepiej.

Przed kilku dniami dostałem pocztą elektroniczną dokument do podpisania. Jest to protest przeciwko - uwaga, uwaga! - przeciwko zakazowi produkcji i dystrybucji naturalnych przypraw, komponentów do potraw, ziół leczniczych, i tym podobnych zdrowych i szkodliwych dla społeczeństwa przyszłości roślinek i z nich robionych produktów, a także - co już przekracza możliwości pojmowania - hodowli zwierząt i upraw w warunkach naturalnych.

Zrazu rzecz zlekceważyłem wychodząc z założenia, że to jakieś nieporozumienie, że ktoś czegoś nie doczytał, nie zrozumiał, albo zgoła pokreślił. Skądinąd zaś wiem, że istnieje cała rzesza zapalonych „protestantów”, co to z zapamiętaniem

wują wszystko, co się nawinie, byle przynajmniej raz w tygodniu trochę sobie podemonstrować.

Zatem - jako się rzekło - rzecz zlekceważyłem. Atoli przyszła w niedzielny wieczór myśl, że może rzeczywiście jest coś na rzeczy i jakieś tajemnicze ciało szykuje nam kolejną niespodziankę. Poszperałem i znalazłem. To na temat prac nad tak zwanym Kodeksem żywnościowym dla Unii. Rzeczywiście włos na głowie się jeży, czego to ludzie nie wymyślą, aby tylko zrobić dobrze możliwym tego świata, czyli właścicielom i zarządzającym wielkich koncernów, które nawet najmniejszej konkurencji znieść nie mogą i gotowe ruszyć do boju przeciw ogródkom przydomowym, poletku pod lasem i świnie w chlewiku.

Jeśli z trudem, bo z trudem, byłbym skłonny zrozumieć ograniczenia w uprawie maku czy konopi indyjskich to dalibóg w żadnym razie nie jestem w stanie pojąć delegalizacji aromatycznego czosnku, kolendry, mięty i innego podbiatku. A swoją drogą, kto dziś wie, co to jest i do czego służył sporysz?